

Rozmowa z Krystyną Hess z domu Ossolinską .

Urodziłam się w Białymstoku , w styczniu 1931 roku .

Tutaj mieszkałam od urodzenia i nadal mieszkam . Początków mojej szkoły i nauki nie pamiętam . To zatarło się w mojej pamięci . Gdy wybuchła wojna pamiętam bombardowanie i tym podobne rzeczy . Mieszkałam wtedy przy ulicy Sienkiewicza . Gdy wybuchła wojna pamiętam jak Niemcy przechodzili ulicą Sienkiewicza , a potem sowiesi . To było we wrześniu i zaraz po Nowym Roku , siudnego stycznia aresztowali ojca i po tym nie było już żadnej wiadomości o nim . Mój ojciec Stanisław Ossolinski pracował w starostwie . Po jego aresztowaniu , trzynastego stycznia czterdziestego roku wywieziono mnie moją mamę i moje rodzeństwo / było nas czworo / . Podróż w tamtą stronę trwała niedługo , bo tylko dwa tygodnie . Warunki były oczywiście bardzo ciężkie . Byliśmy zamknięci jak bydła w wagonach towarowych .

Zostaliśmy aresztowani w nocy przez pięciu sowietów . Był nas czworo rodzeństwa : ja - Krystyna , Wanda , Zygmunt , Władysław . Ruszyliśmy pociągiem z dworca Fabrycznego . Jak wspomniałam warunki były bardzo ciężkie . Nie mieliśmy wody , nie było co jeść . Na miejsce , do Pawłodaru zajechaliśmy pierwszego maja czterdziestego roku . Tam byliśmy tylko dwa dni . Na terenie ogrodzonym takim dużym ogrodzeniem było skupisko osób , które tam przywieźli . Tam też odbył się podział , gdzie kogo zawieźć dalej . My zostaliśmy przydzieleni do sowchozu . Jak ktoś został gdzieś przydzielony to po drugiej stronie Irtyszu stały fury zaprzężone w woły . Tam przewieziono nas promem i tymi wołami zawieziono nas do sowchozu . Było nas tam chyba pięć polskich rodzin . Z Białegostoku nie było nikogo z nami . Najpierw zostawili nas pod gołym niebem , potem byliśmy w jakiejś ziemlance bez dachu . Posiedzieliśmy tam trochę , a później w władze

miejscowe przyznały nam lepiankę . Tam wszyscy razem byliśmy w środku i czekaliśmy , co będzie dalej .

Zaraz też trzeba było iść do pracy choć byliśmy jeszcze dziećmi . Najmłodszą siostra miała wtedy pięć lat . Praca była od pasienia cieląt , starszy brat musiał wykonywać cięższe prace . Ten najstarszy brat niedługo już żył , bo zmarł w czterdziestym pierwszym roku . Najprawdopodobniej na serce . Zostaliśmy we trójkę rodzeństwa i mama . Pracowaliśmy . Praca była katorżnicza . Trzeba było paść , orać , wozić smietaną po dwanaście <sup>km</sup> kile stepami , bo tam przecież są tylko stepy , nie ma lasów . Trzeba było też między innymi kopać glinę . Nie było ustalonych godzin pracy . Trzeba było robić od rana do nocy .

Latem było jeszcze znośnie , ale zimą było bardzo trudno , bo zimy tam były bardzo mroźne . Nieraz były burany , czyli zawieje . Wtedy ludzie nawet ginęli . Widoczność podczas tych buranów była niewielka i można było zagubić się i nie trafić nawet do swojej chaty . Tak żyliśmy w jednym sowchozie przez sześć lat . Nasz sowchoz nazywał Kaliniński sowchaz , firma numer dwa , pawłodarskaja obłast obłast , kujbyszewskij rejon . W czterdziestym piątym roku pobytu tam zmarła moja siostra najmłodsza Wanda . Zostaliśmy do końca już tylko we trójkę i cała trojka nas pracowała .

Pierwszego maja albo trzydziestego kwietnia czterdziestego szóstego roku w południe przyjechało NKWD i przywiozło nam coś w rodzaju wiz wyjazdowych do Polski . Wtedy zebrali wszystkich Polaków i wozami zaprzężonymi w woły zawieźli nas do Kujbyszewa nad rzekę Irtysz . Stamtąd promem przewieźli nas promem do Pawłodaru . Tam zapakowali nas znowu do wagonów towarowych . Wszystkie nasze pięć rodzin .

Była tam pani Gołudowska . Ona miała pięciu synów . Czterech z nich poszło z wojskami Andersa i prawdopodobnie wszyscy zginęli .

Ona



została tylko z tym jednym synem . Oprócz niej wracała z nami pani Wojciechowska . Ona również miała dwóch synów . Jeden z nich poszedł do wojska Andersa-Heniek , a z wackiem wróciła . Oni byli z Grajewa . Ponadto była pani Łepicka z córką , też z Grajewa . To była już taka dorastająca córka i ona również poszła z wojskiem . Matka wracała z nami jednym szalonym . Była z nami pani Frączkowska z synem i razem z nim wracała . Oprócz tego była jeszcze jedna , której nazwisko było chyba Gryczan z trojgiem dzieci . Matka i dwie dzieci tam zmarło , a wróciła tutaj tylko jedna sama córka . Jej obie siostry i matka zostały tam pochowane . One były gdzieś z okolic Białegostoku . Była z nami jeszcze jedna kobieta z miejscowości niedaleko Grajewa . Ona nazywała się Wiszowata . Ona miała troje dzieci : dwie córki i chłopca , Edka , Banusię i Janinę . Więcej Polaków z nami nie było . Potem jeszcze dojechali do nas Gołębiący . Tam było chyba sześcioro dzieci . Z nimi był nawet ojciec .

Cały czas pobytu na zesłaniu byliśmy w jednym miejscu . Nigdzie nie przejeżdżaliśmy . Pracowaliśmy przez ten cały czas . Jakiegoś sześć kilometrów od nas w kolchozie była kirgizka szkoła i tam chodziły te dzieci Kirgizów , a z Polaków nikt . Przede wszystkim nikomu nie było w głowie , żeby chodzić do kirgizkiej szkoły , a po drugi trzeba było chodzić do pracy . Tak więc żadne polskie dziecko nie uczyło się tam przez te sześć lat .

Jeśli chodzi o ludzi to w naszym sowchozie była tylko jedna rodzina Rosjan . Dopiero w czterdziestym drugim roku przywieźli do naszego sowchozu Niemców z Kaukazu , Cziczinów , Inbuszów i Tatarów . Przedtem byli tam sami Polacy i Kirgizi . Do szkoły jednak chodzili nawet później tylko Kirgizi . Rodzice również nie próbowali nas nauczać , bo nie było ani czasu na to ani siły . My zresztą też nie mieliśmy kiedy uczyć się . Ja miałam wtedy na przykład jedenaście lat i musiałam wozić śmietanę dwanaście kilometrów od swego sowchozu .

Tam było coś w rodzaju naszej gminy , taka centrala .  
Zegarków tam nie było i po słońcu trzeba było orientować się , które  
to może być godzina . Zimą , gdy był śnieg było widno i widno .  
Wstawało się rano i wyjeżdżałam . Nieraz zajeżdżałam to tam nawet  
ludzie jeszcze spali . Jechałam tam te dwanaście kilometrów wołami  
więc wiadomo jak długo musiałam jechać . Wracalam też różnie , raz  
o północy , przed północą , po południu . Nawet jakby mi kazali to  
człowiek nie miałby siły się uczyć . Nawet myśl nie przyszła taka  
do głowy , żeby nauczyć się czytać i pisać . Przy powrocie do Polski  
ja miałam tylko dwa pragnienia : wyspać się i najesć się . Czytanie  
i pisanie było dla mnie niepotrzebne . Dzieci wszystkie chyba marzy-  
ły tylko o tym , bo tam nie było przecież ani cukru , ani ziemniaków  
jarzyn . Choroby były , szkorbut i t . d . Warunki sanitarne to nawet trudno  
opisać . Mydła nie było w ogóle . Pełno wszy i innych insektów .

Najpierw te wszystkie rodziny mieszkaliśmy w jednej ziemlance  
a potem nas porozrzucali do innych . Chałupki w naszym kołchozie by-  
ły chyba z dziesięć , piętnaście . Z jednej strony mieszkaliśmy my ,  
po drugiej stronie Kirgizi . Ziemlanki były to dwie izby . Oni mieli  
na przykład krowę , których my nie mieliśmy . Zimą cielak był uwią-  
zany w chałupie , bo podłogi tam i tak nie ma , tylko jest klepisko i  
siano . Jak był duży mróz to krowę i cielaka przyprowadzali do chału-  
py .

Stosunki między Polakami a Kirgizami układały się poprawnie ,  
bo trzeba powiedzieć , że także jest biedny naród . Gdy jednak coś  
mieli to byli gotowi zawsze podzielić się z innymi .

Pamiętam jak były nocne przyjazdy NKWD . Zawsze przyjeżdżali nocą i  
zganiali rodziców i wypytywali ich o coś , nawet nie wiem , o co .  
Z Kirgizami żyliśmy dobrze . To dobry naród .

Prze cały czas pobytu tam warunki mieliśmy tak same złe . Początko-  
wo jeszcze mieliśmy trochę rzeczy z domu , które matki wymieniały

na jakiś



jęczmień czy owies . Poza tym te całe sześć lat były jednakowe pod względem jedzenia czyli głodu , zimna , czyli ubrania. ~~takie same.~~

Trzeba było sobie jakoś radzić więc kradło się zboże . Z niego robiło się placki . Były takie stupy żelazne i w nich tłukło się to ziarno , żeby je przepołowić czy rozdrobnić . Potem to rzucało się na wodę i gotowało się tak papkę , czy upiekło się z tego place . To było całe nasze<sup>ze</sup> jedzenie , bo tam nie było nic innego . Gdy padło jakieś zwierzę , koń czy krowa to wtedy kradło się trochę mięsa . Zresztą nawet nie przypominam sobie , żeby w obrębie kilku kilometrów były jakieś jarzyny .

Oprócz pasienia była były tam prace przy wozeniu siana , przy sianokosach , przy oraniu , przy koszeniu zboża , prace przy bydłe . Nasz sowchoz miał cztery stada bydła , trochę owiec . Ja przykładowo też stróżowałam nocą przy owcach . Latem wyjeżdżało się na sianokosy na stepy , zimą z kolei to przywoziło się tutaj dla bydła . Jak wspominałam mieszało się glinę w tych dołach i potem z tego były robione cegły . Podstawą opału był krowi nawóz czyli tzw. kiziaki . Trzeba było ten nawóz zbierać do państwowej mleczarni . Trudno nawet powiedzieć co tam się robiło .

Z osób , które tam zmarły to były tam : mój brat - zmarł 22-go lutego 1944 roku , 13 września 1945 roku umarła moja siostra . Ona zachorowała na tzw. jażwę sybirską . Ona miała zbręknietą nogę , poniżej kolana do stopy . Oprócz tego nie było żadnego zacierwienia . Poza tym miała niesamowity ból . Ta jej choroba trwała ~~niekiedy~~ tygodni . My w tym czasie byliśmy na wypasach , sześćdziesiąt pięć kilometrów od sowchozu więc zanim zawieźli ją wołami do lekarza i potem przewieźli ją do Pawłodaru to nawet było już za późno na amputację nogi . Tam w Pawłodarze żyła tylko dwa dni . Ta choroba ~~je~~ jest przenoszona prawdopodobnie przez jakiś gatunek much . Polacy nie umierali z głodu tam . Ta matka z dziećmi i inni umierali raczej z przemęczenia .

Z głodu umierali raczej Niemcy . Jesli chodzi o traktowanie Niemców było takie same jak i innych . Musieli pracować jak i my /inne nardowości również /. Podziału nie było tutaj żadnego , ale chyba byli oni słabsi . Zresztą z tego , co opowiadali to i tam nie mieli dobrego bytu , więc organizm był wycieńczony .  
Pamiętam jeszcze jak zmarł jeden chłopiec , bo odmroził sobie nogi i dostał zakażenia .

W kwietniu czterdziestego szóstego roku przyjechali do naszego kołchozu i przywieźli nam karty wyjazdowe . Następnego dnia wózek drabiniasty powiózł nas do Kujbyszewa .

W Pawłodarze dostaliśmy po pół kilograma na osobę suszonej , wędzonej ryby na drogę - w naszym przypadku to było półtora kilograma . Potem po drodze nie przypominam sobie , żeby coś jeszcze dawali . Dopiero w Moskwie staliśmy trzy dni na poboczu . Tam była przeprowadzana dezynfekcja nas i naszych szmat w wagonie . Tam nam też dali po miarce zupy . Potem znowu jechaliśmy . Staliśmy jeszcze w Brześciu . Tam dostaliśmy chyba jakieś puszki konserw . Tu staliśmy dwa dni . Przyjechaliśmy do Białegostoku szesnastego lub osiemnastego czerwca czterdziestego szóstego roku . Naszego domu nie było . Spotkaliśmy znajomą , która zabrała nas do siebie . Byliśmy tam jakieś dwa miesiące , a potem inna znajoma wynalazła nam mieszkanie i tam zamieszkaliśmy oddzielnie .

*Rozmowa nagrana i opisał  
Zochow. Dawid!*